



**R**ozkaz opuszczenia statku wydano o piątej po południu. Większość załogi zresztą nie potrzebowała żadnego rozkazu, każdy już wiedział, że statek jest stracony i nadeszła chwila, kiedy dalsze próby ratunku stały się bezcelowe. Ludzie walczyli nieustępliwie przez trzy dni i przegrali. Swoją porażkę przyjęli niemal obojętnie. Po prostu byli zanadto zmęczeni, żeby się nią przejmować.

Frank Wild, zastępca dowódcy, przeszedł po wybrzuszonym pokładzie na dziób statku, do pomieszczeń dla załogi. Leżało tam na niskich kojach dwóch marynarzy, Walter How i William Bakewell. Obaj byli całkowicie wyczerpani trwającą blisko trzy dni pracą przy pompach, nie mogli jednak zasnąć z powodu odgłosów, jakie rozlegały się na statku.

Był on miażdżony. Nie od razu – powoli, stopniowo. Burty gnióły naór dziesięciu milionów ton lodu. Statek ginął, jęcząc w agonii. Wręgi i poszycie, potężne bale, niektóre grube prawie na stopę, trzeszczały, gdy śmiertelny ucisk wzrastał. A kiedy belki nie mogły już dłużej wytrzymać naporu, pękały z hukiem przypominającym wystrzał armatni.

Większa część belek dziobówki uległa zniszczeniu już wcześniej w ciągu dnia, a sam pokład wybrzuszył się i wyginał powoli w górę i w dół, w miarę jak nacisk wzrastał albo słabnął.

Wild wsadził głowę do kubryku. Mówił spokojnie:

– Statek ma dość, chłopcy. Myślę, że pora się zabierać.

How i Bakewell dźwignęli się z pryczy, wzięli worki, w których mieli trochę swoich gratów, i wyszli za Wildem na pokład.

Potem Wild zszedł do ciasnej maszynowni. Kerr, drugi mechanik, stał u podnóża trapu i czekał. Był tam również Rickenson, główny mechanik. Znajdowali się na dole już prawie siedemdziesiąt dwie godziny, trzymając kotły pod parą, żeby umożliwić działanie pomp maszynowni. Przez cały ten czas, chociaż nie mogli obserwować ruchu lodów, zdawali sobie sprawę, co dzieje się ze statkiem. Kadłub – chociaż miał z 60 centymetrów grubości – co pewien czas uginał się pod naciskiem na dobrych 15 centymetrów. Wtedy ściśnięte stalowe płyty podłogi wyginały się, zgrzytając na spoiniach, i nagle ich brzegi zaskakiwały na siebie z ostrym metalicznym trzaskiem.





Wild nie zwlekał.

– Wygaście palenisko – powiedział. – Ze statkiem koniec!

Kerr przyjął to z uczuciem ulgi.

Wild skierował się teraz na rufę, do wału napędowego śruby. Tam McNeish, stary cieśla okrętowy, oraz marynarz McLeod uszczelniali za pomocą kawałków koca gródź, skleconą dzień przedtem przez McNeisha. Zbudowano ją, żeby powstrzymać wodę wlewającą się do wnętrza statku w miejscu, gdzie ster i belka sterowa zostały oderwane przez lód. Ale w tej chwili woda sięgała już prawie poziomu desek podłogi i przybierała szybko, tak szybko, że gródź nie mogła jej już powstrzymać, a pompy wypompować. Kiedy nacisk zelżał na chwilę, słychać było szum wody wlewającej się do środka i wypełniającej luk. Wild dał znak tym dwóm, żeby dali spokój. Potem wspiał się po trapie na główny pokład.

Clark, Hussey, James i Wordie, którzy tam pracowali przy pompach, postanowili przerwać robotę, zdając sobie sprawę, że ich wysiłki są daremne. Siedzieli teraz, jedni na workach z zapasami, inni po prostu na pokładzie, opierając się o nadburcie. Na ich twarzach widniały wyraźne ślady ostatnich trzech dni harówki przy pompach.

Bliżej dzioba poganiacze psów przywiązali do lewej burty szerokie pasy płótna, tworząc coś w rodzaju pochyłni wiodącej na lód przy statku. Brali z boksów czterdzieści dziewięć psów husky i spuszczały po kolei na dół, gdzie czekali już na nie inni. Normalnie doprowadziłyby to psy do wściekłości, teraz jednak, jakby w jakiś sposób wyczuwały, że dzieje się coś bardzo niezwykłego. Nie gryzły się i żaden nie próbował ucieczki.

Być może wpłynęła na to również postawa ludzi. Pracowali z rozważnym pośpiechem, nie odzywając się prawie do siebie. W żadnym razie nie było widać żadnych oznak paniki. Rzeczywiście, oprócz ruchu lodów i odgłosów, jakie wydawał statek, cała scena tchnęła względny spokój. Temperatura wynosiła –22 stopnie, wiała lekka południowa bryza. W górze zmierzchające niebo było czyste.

Ale gdzieś z daleka, z południa, nadciągał ku nim sztorm. Choćby prawdopodobnie mógł dotrzeć do nich dopiero po upływie dwóch dni, jego nadejście zapowiadały poruszenia lodów, ciągnących się tak daleko,





jak tylko wzrok mógł sięgnąć, i dalej, na setki kilometrów\*. Ławica kry lodowej była tak olbrzymia i tak gęsta, że chociaż sztorm jeszcze do nich nie dotarł, odległy jego podmuch ścinał już kry w zbitą masę. Cała powierzchnia lodu była jednym kłębiącym się chaosem. Wyglądała jak olbrzymia łamigłówka, której cząstki rozrzucone w nieskończonej przestrzeni zgarniane były i kruszone przez jakąś niewidzialną, a przemożną siłę.

Robiło to tym większe wrażenie, że ruch lodów odbywał się powoli, jakby z namysłem. Kiedy dwie grube kry zetknęły się, ich brzegi napierały na siebie. Potem, gdy żadna z nich nie chciała ustąpić, obie unosiły się wolno w górę, często drżąc jakby z wysiłku. Niekiedy zamierały nagle w bezruchu, jak gdyby ta niewidzialna gniotąca lód siła z jakichś tajemniczych powodów przestała się nimi nagle zajmować. Częściej jednak zdarzało się, że dwie kry – grube na trzy lub więcej metrów – unosiły się w dalszym ciągu coraz wyżej, dopóki jedna z nich albo obie nie załamały się i nie runęły, tworząc ciężkie zwały.

Słychać było odgłosy spowodowane ruchem lodów – zwykłe dźwięki, trzaski i zgrzyty kry, a od czasu do czasu rozlegał się grzmot, gdy runął jakiś ciężki blok. Prócz tego ścisłany ze wszystkich stron lód zdawał się dysponować niewyczerpanym niemal repertuarem innych dziwacznych dźwięków. Niekiedy słychać było hałas, jakby gigantyczny pociąg o zgrzytliwych osiach wekslowano brutalnie po torach z ciągłym szczerkiem i trzaskiem zderzaków. Jednocześnie ryczała syrena wielkiego parowca, a głos jej mieszał się z pianiem kogutów, grzmotem odległego przyboju, cichym pulsowaniem dalekiej maszyny parowej i jęklivymi zawodzeniami starej kobiety. W rzadkich momentach spokoju, kiedy ruch lodów ustawał na chwilę, przestworzem niosło się stłumione bicie w bębny. W tym bezmiarze lodów nigdzie ruch nie był większy ani napór bardziej intensywny niż w najbliższym sąsiedztwie atakowanego przez kry statku. Jego sytuacja nie mogła już być gorsza. Jedna kra wbita była

---

\* Wszystkie jednostki imperialne zostały na potrzeby wydania polskiego zamienione na metryczne. Zamiana ta może jednak budzić kontrowersje, gdyż autor podaje miary w celach orientacyjnych – i tak 100 jardów może oznaczać 91,44 metra, mniej niż 100 metrów lub około 90 metrów. Kilkaset jardów to rozpiętość między 27 a 91 metrów, stąd zamiana na „kilkaset metrów”.



mocno w część dziobową prawej burty, a druga trzymała statek z tej samej strony przy rufie. Trzecia parła prostopadle w poszycie burty ze strony przeciwnej. Łód starał się więc przełamać statek dokładnie w połowie jego długości. Coraz częściej kadłub wyginał się cały ku lewej burcie.

Z przodu, gdzie koncentrował się największy napór, lód zatapiał statek. Piętrzył się coraz wyżej i wyżej po burtach, w miarę jak statek odpiearał kolejne ataki, aż wreszcie sięgnął nadburcia, a później zwałił się na pokład, przygniatając kadłub miazdzącym ciężarem, który spychał dziób coraz niżej. Tak uwięziony statek coraz bardziej zdany był na łaskę brył lodowych wpartych w jego boki.

Statek różnie reagował na każdy kolejny nacisk. Niekiedy po prostu drżał krótko, niby ludzka istota na skutek nagłego bólu. Innym razem wstrząsały nim serie konwulsyjnych drgań, którym towarzyszył przejmujący skrzyp. Wówczas jego trzy maszty chwiały się gwałtownie w tył i w przód, a olinowanie napinało się jak struny. Ale najgorsze dla ludzi były te momenty, kiedy statek przypominał jakąś olbrzymią żywą istotę, duszoną i starającą się złapać oddech, broniącą się przed dławiącym uciskiem.

W czasie tych ostatnich godzin cała załoga bardziej niż czym innym wstrząśnięta była niemal do granic przerażenia zachowaniem statku, które przypominało agonię olbrzymiej bestii.

O siódmej po południu cały potrzebny sprzęt przeniesiony został na lód, a skład urządzono na solidnej krze, niedaleko za prawą burtą. Łodzie ratunkowe spuszczone zostały jeszcze poprzedniej nocy. Znalazłszy się już za burtą, na lodzie, przeważająca część załogi odczuła niezmierną ulgę, oddaliwszy się od skazanego na zagładę statku. Chyba niewielu tylko, o ile w ogóle znalazłby się ktoś taki, powróciłoby dobrowolnie na pokład.

Jednakże paru nieszczęśników otrzymało rozkaz powrotu, żeby odszukać różne przedmioty. Jednym z nich był Aleksander Macklin, krępy, młody chirurg, który był również kierowcą psiego zaprzęgu. Uwiązał właśnie swoje psy w obozie na krze, kiedy kazano mu pójść razem z Wildem, żeby zabrać z przedniej ładowni trochę tarcic.



Obaj dotarli już do statku, kiedy od strony obozu doleciała głośna wrzawa. Kra, na której rozpięto namioty, pękła. Wild i Macklin pobiegli z powrotem. Zaprzęgnięto psy i przewieziono spieszenie namioty, zapasy, sanie i cały sprzęt na inną krę położoną o 90 metrów dalej od statku.

Kiedy zakończono przeprowadzkę, wydawało się, że statek lada chwila pójdzie na dno, więc obaj mężczyźni pospieszyli, żeby dostać się na pokład. Torowali sobie drogę wśród bloków lodowych zalegających dziobówkę, a potem unieśli pokrywę wejścia do forpiku. Trap został wyrwany z uchwytów i przechylił się na bok. Żeby dostać się na dół, musieli opuszczać się na rękach w ciemność.

Trudno było opisać hałas panujący wewnątrz kadłuba. Na pół puste kabiny niby olbrzymie pudło rezonansowe wyolbrzymiały każdy trzask łamanych sworzni i pękających belek. W miejscu gdzie stali, boki statku dzieliło od siebie niespełna metr i słyszeli doskonale, jak lód szturmuje od zewnątrz, żeby wdrzeć się do środka.

Poczekali chwilę, aż oczy ich przywykną do półmroku; to, co ujrzeli, było przerażające. Pilarsy były wgniecione, a pokładówki nad głową mogły puścić lada chwila. Wyglądało to tak, jak gdyby statek ujęty w jakieś olbrzymie imadło, które zaciskało się z wolna, nie był już w stanie wytrzymać dłużej nacisku.

Tarcice, po które tu przyszli, zmagazynowano w ciasnych wnękach bocznych w samym dziobie statku. Żeby się do nich dostać, musieli przepełznąć poza gródz poprzeczną. Widzieli, że sama gródz wybrzuszyła się, jakby miała prysnąć lada chwila, co spowodowałoby zawałenie się na nich całej dziobówki.

Macklin zawahał się przez ułamek sekundy i Wild, wyczuwając jego wahanie, zawołał do niego, przekrzykując hałas, żeby został tam, gdzie stoi. Potem dał nurka przez otwór i w kilka minut później zaczął podawać Macklinowi deski.

Obaj pracowali gorączkowo, ale i tak wydawało im się, że trwa to nieskończenie długo. Macklin był przekonany, że nigdy nie uda im się wydobyć w porę ostatniej deski. Wreszcie jednak głowa Wilda pojawiła się znowu w otworze. Wypchnęli tarcicę na pokład, wygramolili się sami



i stali długą chwilę bez słowa, rozkoszując się niezwykłym poczuciem bezpieczeństwa. Później Macklin przyznał w swoim dzienniku:

*Nie sądzę, żebym kiedykolwiek doznawał tak straszliwie obezwładniającego uczucia strachu, jak wtedy, gdy tkwiłem w luku tego miażdżonego statku.*

W godzinę po opuszczeniu statku przez ostatniego człowieka lód wdarł się do wnętrza kadłuba. Najpierw przeniknęły ostre odłamki, otwierając rany, przez które przedostały się całe bloki i bryły. Wszystko od śródokręcia aż do dzioba skryło się teraz pod wodą. Cała ściana pokładówki od strony prawej burty została zgnieciona przez lód z taką siłą, że kilka pustych baniek po gazolinie leżących na pokładzie przebiło ją i przeleciało aż na środek, pchając przed sobą wielki oprawny w ramę obraz. Dziwnym zbiegiem okoliczności szkło nie pękło.

Później, kiedy uporządkowano już obóz, kilku ludzi wróciło, żeby obejrzeć szczątki będące niegdyś ich statkiem. Nie było ich jednak wielu. Większość załogi tkwiła w namiotach, przemarznięta i zmęczona; nie obchodził ich na razie nawet własny los.

Powszechnego uczucia ulgi po opuszczeniu statku nie podzielał jeden tylko człowiek. Był to mocno zbudowany mężczyzna o szerokiej twarzy i grubym nosie, w jego mowie pobrzmiwały ślady irlandzkiego akcentu. Gdy opróżniano statek, kiedy wyładowywano sprzęt, psy i ludzi, trzymał się, w miarę możliwości, na uboczu.

Nazwisko jego brzmiało sir Ernest Shackleton, a dwudziestu siedmiu ludzi, którzy oto opuszczali tak niechwalebnie swój zwyciężony statek, byli to członkowie jego Imperialnej Transantarktycznej Wyprawy.

Działo się to 27 października 1915 roku. Statek nazywał się „Endurance”. Pozycja wynosiła 69°5' szerokości południowej, 51°30' długości zachodniej – głęboko w lodowym pustkowiu zdradzieckiego antarktycznego Morza Weddella, mniej więcej w połowie drogi między biegunem południowym a najbliższym, najbardziej na południe wysuniętym miejscem zamieszkanym przez ludzi, odległym o jakieś 2000 kilometrów.

Odpowiedzialność, jaka spoczywała w tej chwili na barkach Shackletona, stała się udziałem niewielu tylko ludzi. Chociaż z pewnością rozumiał, że ich sytuacja jest rozpaczliwa, nie mógł sobie wówczas wyobrazić,

nawet w przybliżeniu, fizycznego i psychicznego napięcia, wyrzeczeń i cierpień, jakie ich czekają.

Byli, praktycznie biorąc, samotni na zamarzniętych morzach Antarktyki. Wkrótce miał minąć rok od chwili ich ostatniego kontaktu z cywilizacją. Nikt na świecie nie wiedział, że znaleźli się w niebezpieczeństwie, a tym bardziej gdzie byli obecnie. Nie mieli nadajnika radiowego, za pomocą którego mogliby wezwać pomoc, i było bardzo wątpliwe, czy ktokolwiek zdołałby do nich dotrzeć, gdyby nawet byli w stanie nadać SOS\*. Był rok 1915 i nie znano wówczas helikopterów, transporterów ani ciągników śnieżnych, nie było też odpowiednich samolotów.

Ich położenie było więc jasne i straszliwe w swej prostocie. Jeśli mieli w ogóle się uratować, musieli sami wydobyć się z matni.

Według oceny Shackletona szelf lodowy otaczający Półwysp Palmera – najbliższy znany ląd – znajdował się 293 kilometry na WSW od nich. Ale sam ląd, oddalony o 338 kilometrów, był niezamieszkały ani przez ludzi, ani przez zwierzęta; nie mogli tam oczekiwać poprawy położenia ani ratunku.

Najbliższym znanym miejscem, gdzie mogli przynajmniej znaleźć pożywienie i schronienie, była mała wyspa Paulet o średnicy niespełna dwóch i pół kilometra, leżąca w odległości 557 kilometrów na północny zachód; oddzielała ich od niej spiętrzona kora lodowa – pak. Tam właśnie w roku 1903, dwanaście lat wcześniej, spędziła zimę załoga szwedzkiego żaglowca „Antarktyka”, kiedy statek zgnieciony został przez lody Morza Weddella. Ci, którzy wreszcie wyratowali członków tej wyprawy, zostawili wówczas na wyspie Paulet skład z żywnością na użytek ewentualnych przyszłych rozbitków. Kaprys losu sprawił, że właśnie Shackletonowi powierzono wtedy zadanie zakupienia tych zapasów i teraz, po dwunastu latach, to on właśnie ich potrzebował.

---

\* Sygnał wzywania pomocy w alfabecie Morse’a, wprowadzony do użytku w 1908 roku. Jego skrót bywa tłumaczony jako *Save Our Souls* (Ocalcie nasze dusze) lub *Save Our Ship* (Ocalcie nasz statek).